

Instytut Pamięci Narodowej - Kraków

<https://krakow.ipn.gov.pl/pl4/edukacja/przystanek-historia/197053,Burza-w-Malopolsce-2.html>
05.05.2024, 17:57

„Burza” w Małopolsce (2)

W 2024 r., w 80. rocznicę operacji „Burza” Armii Krajowej, co miesiąc będziemy opisywać najważniejsze epizody „Burzy” w Małopolsce. Oto drugi odcinek.

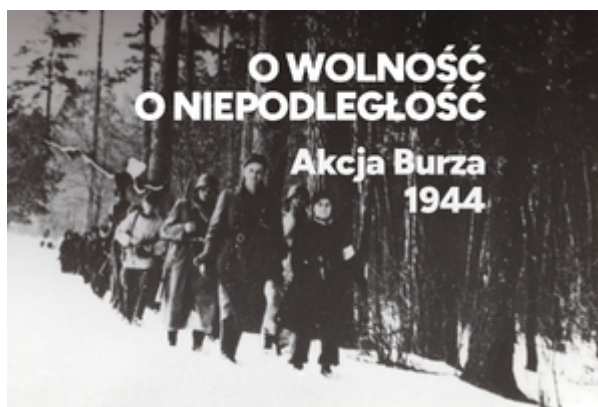
W 1944 r., gdy II wojna światowa zbliżała się do finału, ważyły się losy Polski. Wobec coraz bliższej klęski Niemiec i wkraczających na ziemię II Rzeczypospolitej wojsk sowieckich, Armia Krajowa rozpoczęła operację „Burza”. Ta wzmożona akcja dywersyjna, przybierająca niekiedy cechy powstańcze, stanowiła kulminacyjny punkt wysiłku zbrojnego Polskiego Państwa Podziemnego. Rozłożona w czasie, obejmowała kolejno niemal wszystkie części przedwojennej Polski. W 2024 r., w 80. rocznicę tych wydarzeń, w każdym miesiącu będziemy opisywać najważniejsze epizody „Burzy” w Małopolsce. [W styczniu przedstawiliśmy genezę i syntetyczny zarys akcji w Okręgu Kraków AK](#). W lutym przybliżyliśmy aliancką pomoc materiałową zrzucałą dla Okręgu AK Kraków.

Zrzuty nadziei

Za mało, za późno, nie to co trzeba – te wszystkie komentarze pojawiały się wśród żołnierzy Armii Krajowej odbierających zrzuty materiałowe dla podziemnego wojska. Obok krytyki była jednak również dumą z tego, że ktoś o nich pamięta oraz że wreszcie będzie można wykorzystać w walce nowoczesny sprzęt. I chociaż w Małopolsce tego ostatniego „spadło z nieba” stosunkowo niewiele, to przydał się on w czasie realizacji „Burzy”.



Żołnierze Obwodu AK Limanowa podczas koncentracji do „Burzy” latem 1944 r. Na pierwszym planie widoczne podnożące ze zrzutów pistolety maszynowe Sten i UD-42 oraz brytyjski karabin Bren. Fot. ze zbiorów J. Krzewickiego



Visy na tygrysy

Wprawdzie wytyczne do przyszłych działań powstańczych w postaci akcji „Wschód” (drugi kryptonim „Burzy”) wydano już w drugiej połowie 1943 r., to jednak nie wszystkie okręgi AK były na nią przygotowane. W Małopolsce zaczęły wówczas działać pierwsze oddziały partyzanckie, były one jednak niewielkie i bardzo słabo uzbrojone. Problemy z wyposażeniem widoczne są też w zestawieniach dotyczących całego Okręgu AK Kraków (wraz z Podokręgiem AK Rzeszów), który według szacunków z początku 1944 r. liczyć miał ok. 90 tys. żołnierzy. Ta imponująca grupa zaangażowanych w konspirację ludzi dysponowała jednak bardzo małą ilością uzbrojenia. Na szczególnie istotną w działaniach zaczepnych i zasadzkach broń maszynową składały się zaledwie 63 ciężkie karabiny maszynowe, 154 ręczne karabiny maszynowe i 30 pistoletów maszynowych. Zwykłych karabinów i karabinków było 4070, a pistoletów 2977. Do tego dochodziła też relatywnie nieduża liczba granatów (30 787 sztuk), 3 armaty przeciwpancerne i 6 karabinów przeciwpancernych – te ostatnie to zapewne polskie „powrześniowe” boforsy i legendarne „ury”.

Gros wykazywanej broni maszynowej oraz zwykłych karabinów pochodziło ze skrytek z 1939 r. Jej stan z reguły nie był najlepszy. Jeden z partyzantów wspominał o posiadanych przez oddział polskich erkaemach: „wszystko [było] gdzieś nie we właściwym miejscu zamelinowane. Zardzewiały, gdzieś z ziemi”. To oraz np. brak dodatkowych magazynków, przekładało się później na ich zawodność podczas akcji. Także pokaźna na pierwszy rzut oka liczba pistoletów może być myląca, gdyż owe blisko 3 tys. sztuk to bardzo różne typy i konstrukcje – nie tylko cenione polskie visy, ale także wszelkiego rodzaju rewolwery oraz małokalibrowe tzw. damki, a także pozyskiwana z różnych źródeł broń cywilna.

Jeden z podhalańskich księży wskazał akowcom studnię, do której wrzucił swój bębenkowiec: „Okazały rewolwer był starej daty i nieco zardzewiały, ale mechanizm funkcjonował sprawnie”. Z kolei inny partyzant przyniósł „pokaźnych rozmiarów króciwą z długą szeroką lufą i kunsztownym kapiszonowym zamkiem, wykonaną przypuszczalnie przez wiejskiego rusznikarza w ub[iegłym] stuleciu”.

Atlas ptaków

Już na pierwszy rzut oka widać, że uzbrojenia było w okręgu za mało w stosunku do liczby żołnierzy. Broń „do ręki” w momencie ogłoszenia powstania otrzymać mógł według stanu na marzec 1944 r. co dwunasty akowiec, a co trzeci – choć w rzeczywistości nigdy tak nie robiono – miałby jedynie granat. Ponad połowa byłaby więc zupełnie bezbronna. Warto zestawić to np. z nasyceniem bronią niemieckiego pułku policji, który w lipcu 1944 r. stacjonował większością swoich sił właśnie w Małopolsce i liczył nieco ponad 2 tys. policjantów. Ta „garstka” w porównaniu z siłami małopolskiej AK dysponowała jednak 36 cekaemami, 81 erkaemami oraz aż 111 pistoletami maszynowymi, a poza tym wspierało ją 6 armat przeciwpancernych i 4 działa.

Remedium na niewystarczającą ilość broni, ale też m.in. materiałów wybuchowych, mundurów czy sprzętu łączności, miały być zrzucone. Dla Okręgu AK Kraków, podobnie jak dla innych okręgów, wyznaczono odpowiednie do ich odbioru placówki (część o charakterze bastionów zdolnych do odbioru zrztu z kilku samolotów). W Małopolsce i na Podkarpaciu ich kryptonimami były nazwy ptaków. Zachodnią część okręgu objęto akcją dopiero wiosną 1943 r. Pierwszy udany zrzt dokonany został tam w nocy z 16 na 17 marca 1943 r. na placówkę „Kaczka” w okolicach Książa Małego, gdzie dotarło 6 zasobników i 6 paczek z wyposażeniem wojskowym. Rok później, w nocy z 3 na 4 kwietnia 1944 r., udało się zrzuć w to samo miejsce kolejne 9 zasobników i 12 paczek. W 1943 r. „czuwało” czekając na swoją kolej także m.in. zrztowisko „Tukan” położone na północny wschód od Krakowa, w okolicach Szczucina. Tam zrzt nastąpił w nocy z 18 na 19 grudnia.

Zdarzały się też akcje na „dziko” czyli zrztu poza placówkami, przejmowane przez Niemców lub oddziały niescalone z AK. Wiele placówek nigdy nie otrzymało zrztów, inne odebrały je dopiero w roku 1944. Dwukrotnie udało się dostarczyć sprzęt i broń m.in. na placówkę „Kanarek” położoną na północ od Miechowa w pobliżu miejscowości Przysieka. Łącznie w maju i sierpniu 1944 r. odebrano tam prawdopodobnie 21 zasobników i 17 paczek. Udane były też m.in. operacje lotnicze na zrztowiska „Kobuz” położone na północny wschód od Miechowa w rejonie miejscowości Janowice oraz „Wilga” nad Szczawą w Gorcach. To ostatnie, będące w końcu 1944 r. najbezpieczniejszym zrztowiskiem na terenie kraju, przyjęło też łącznie 12 cichociemnych. Skoczki lądowali również na polach Wierzbna (placówka „Kos” – tu m.in. zrzucony został gen. bryg. Leopold Okulicki), w rejonie pobliskich Proszowic („Kura”), koło Bobina pod Skalbmierzem („Mewa”) i Zabierzowa Bocheńskiego („Koliber”).

Uzbrajać czy „melinować”?

W zasobnikach i paczkach wysyłano różne elementy wyposażenia. Szczególnie ważne były mundury i buty, dzięki którym partyzanci zaczęli przypominać regularne wojsko. Do tego tzw. wypełniaczami były m.in. swetry, koszule, ale też sczoryki, zapalniczki czy zegarki. Na broń składały się w pierwszej kolejności erkaemy i pistolety maszynowe, których szczególnie brakowało. O ile jednak zrztwany zdobyczny sprzęt niemiecki był w „leśnych” szeregach bardzo ceniony, z uwagi na łatwość w pozyskaniu amunicji (podobnie jak brytyjskie steny czy amerykańskie peemy UD-42), o tyle używanie broni o nietypowych kalibrach bywało kłopotliwe. Z doskonałych erkaemów Bren czy peemów Thompson można było strzelać jedynie do czasu, kiedy nie zużyła się zrztowa amunicja. Jeszcze bardziej problematyczne były wysyłane do kraju niemal masowo różnego rodzaju amerykańskie i brytyjskie rewolwery, do których naboju nie sposób było nigdzie zdobyć czy dorobić.

Warto też dodać, że broni wciąż było po prostu za mało. Do Polski dotarły przez cały okres wojny ok. 443 tony zaopatrzenia (dla porównania do Jugosławii zrzucono 76 117, do Francji 10 485, a do Grecji 5 796 ton). Można przyjąć, że pozwalało to na wyekwipowanie nie więcej niż ok. 50 tys. ludzi. Niemniej jednak dostarczony odpowiednio wcześniej do oddziałów partyzanckich sprzęt wyraźnie poprawiał ich efektywność. Sprawdzał się

zwłaszcza w akcjach na placówki i posterunki wroga oraz w zasadzkach na szosach. Do walki wykorzystywano nawet przeciwpancerne granatniki PIAT – najczęściej strzelając jednak nie do samochodów czy czołgów, ale do budynków.

Niektóre typy zrzuconego uzbrojenia zupełnie nie sprawdzały się w warunkach partyzanckich – np. ciężkie i skomplikowane w obsłudze działka przeciwpancerne Solothurn czy moździerz. Te z reguły przetrzucano z „meliny” do „meliny” i w końcu po wojnie przejmowali je Sowieci lub funkcjonariusze Urzędu Bezpieczeństwa. Zresztą taki los spotykał też ten sprzęt, który dotarł do kraju za późno – w ostatnich tygodniach 1944 r. Partyzanci z goryczą wspominali, że kiedy był potrzebny, to go nie dostawali, a kiedy wreszcie mieli go w rękach, to wojna się już dla nich kończyła.

Tekst Dawid Golik